Cena pojedyn. numeru 30 groszy. Należność pocztowa uiszczona ryczałtem

Nr. 33 Warszawa, dn. 28 lipca 1929 r. Rok I.

PLACÓWKA

POLITYCZNA — SPOŁECZNA — GOSPODARCZA — KULTURALNA

PISMO TYGODNIOWE DLA WSZYSTKICH

TREŚĆ NUMERU:

NA PORZĄDKU DZIENNYM

KONSEKWENCJE WYROKU

Kiedy cztery miesiące temu zgórą p. dr. Świtalski obejmował formalną władzę w Rzeczypospolitej jako premjer jej rządu, przyjściu do steru jego gabinetu towarzyszyły zapowiedzi jakiegoś nadzwyczajnego „ostrego kursu". Nie umiano ściśle określić w czem ten nowy kurs polityki rządowej będzie się przejawiał. Jakich nabierze nowych cech w stosunku do Sejmu, któremu zarezerwowano wyłącznie prace budżetu. Co nowego i... ostrzejszego wniesie w stosunek władz rządowych do społeczeństwa, a właściwie do niezależnych stronnictw opozycyjnych. Jak w końcu ustosunkuje się do postawionego i zaognionego problemu reformy konstytucyjnej, wobec którego poprzedni gabinet p. Bartla zachowywał wymowne, a ponoć nie ze wszystkiem życzliwe, milczenie.

Z braku urzędowych wyjaśnień ze strony kół miarodajnych co do zamierzeń nowego Rządu, opinja publiczna z konieczności próbowała odcyfrować linję wytycznych jego polityki z nieurzędowych... półsłówek, a przedewszystkiem z różnych posunięć nie tyle merytorycznych — bo tych brakło — ale... personalnych.

Zdawało się wtedy, że nowy gabinet steruje zdecydowanie ku nowej rozgrywce politycznej, którą jednak utrzyma tradycyjnie w granicach formalnie zachowanego prawa. Żadnych „oktrojowań", czy innych zamachów, jak to marzyły różne organy sanacyjnego konserwatyzmu (?!?), tylko nowe wybory, ale tak przeprowadzone, by dzisiejsza mniejszość prorządowa w Sejmie powróciła doń w nowej kadencji jako zdecydowana większość. Pocóż wtedy „zmieniać", gdy nie będzie potrzebnej kwalifikowanej większości, Konstytucję, gdy „swój" Sejm uchwali każdy budżet, zatwierdzi każde jego przekroczenie, uniemożliwi nieprzyjemne „zabawy" z Trybunałem Stanu, a przez odpowiednią zmianę regulaminu sejmowego skrępuje znakomicie swobodę opozycyjnej działalności w Sejmie i poza nim.

Taki był plan. Dziś z tego wszystkiego jedno wielkie rumowisko pięknych marzeń i zawiedzionych nadziei różnych świeżo upieczonych dygnitarzy. Wyrok Trybunał uStanu w sprawie b. min. Czechowicza popsuł wszystkie szyki, zmienił zasadniczo układ sił na szachownicy politycznej. Planu chwilowo niema — na rękę przyszły wakacyjne wywczasy. Co będzie na jesieni — zobaczymy. Decyzja co do tego nie narodzi się napewno w Biarritz. Jeśli przyjdzie — to z nad Czarnego Morza.

W ZAMĘCIE POJĘC

Doniedawna jeszcze pojęcie demokratyzmu zdawało się być ustalonem i całkowicie określonem: jak wskazuje nazwa grecka, jest to ustrój oparty na władztwie ludu, który w drobnych ustrojach politycznych, jak republiki starogreckie, polegał na wykonywaniu władzy w drodze zebrań ogólnych, w większych jednak ustrojach opierać się musi na wykonywaniu władzy przez pełnomocników, przez parlament.

Parlamentaryzm jest więc cechą zasadniczą i podstawową demokratyzmu, naturalnie parlamentaryzm istotny, oddający parlamentowi najwyższą i nieograniczoną władzę w państwie.

Kto więc, choćby z najidealniejszych pobudek, jest przeciwnikiem parlamentaryzmu, kto dąży do jego ograniczenia, obcięcia jego praw, — ten nie jest demokratą.

Doniedawna zdawało się, że przynajmniej wybitniejsi politycy i pisarze polityczni w Polsce rozumieją to dobrze i zdają sobie sprawę ze znaczenia terminu „demokratyzm".

Więc też gdy narodowa demokracja w ewolucji swych pojęć politycznych poczęła wzdychać do ograniczenia władzy parlamentu i obcięcia praw wyborczych mas, zaznaczyła to lojalnie przy tak często powtarzających się zmianach jej firmy politycznej i usunęła ze swych tytułów wyraz „demokracja".

Aliści okazuje się obecnie, że pewne sfery polityczne i dziennikarskie przestały orjentować się w elementarnych pojęciach politycznych i terminowi „demokracja" nadają nowe jakieś — niezrozumiałe, metafizyczne znaczenie.

Boć nie powinien nazywać się demokratą żaden stronnik „bezpartyjnych" partji, prowadzących, a przynajmniej pochwalających politykę, która zmierza do ograniczenia przejawów woli ogółu, która prawo do rządów przyznaje mniejszości choćby nawet ta mniejszość w swoim czasie położyła dla kraju takie czy inne zasługi.

Można mieć na demokrację takie czy inne poglądy, — zwłaszcza że demokracja, jak każda rzecz na świecie posiada swe wady i zalety, — ale gdy się jest wrogiem demokracji, poco przywdziewać na się szatę niby demokratyczną.

Politycy i dziennikarze sanacyjni zapewniają ogół obywateli o swym demokratyzmie, o obronie demokratyzmu właśnie przez siebie. Jedni czynią to wskutek braku elementarnych pojęć z dziedziny polityki, inni z gorszych pobudek — przez demagogję.

Wiedzą oni, że Polska jest żywiołowo przywiązana do haseł demokratycznych, bo od końca ośmnastego stulecia najlepsi Jej synowie walczyli właśnie nie o co innego, jak o Polskę demokratyczną wraz z jaknajszerszym parlamentaryzmem i innemi atrybutami demokracji, nie o co innego walczył też marszałek Piłsudski z Rosją carską czy bolszewicką.

I dlatego to wkładają obłudne maski demokratów.

Obłudnikiem więc jest dziennikarz, gdy choćby fakt rozpędzenia sejmu stara się przedstawić jako czyn, utrwalający demokratyzm w Polsce. Prostodusznym analfabetą politycznym jest natomiast marszałek senatu, gdy w najlepszej wierze twierdzi, że on właśnie jest bojownikiem polskiej demokracji.

Dziwnie wygląda obecnie sprawa demokracji w Polsce; cały obóz rządowy — od Radziwiła do Ciszaka i Jaworowskiego—wszelkiemi sposobami zwalcza ustrój demokratyczny w Polsce. Rola obrońcy demokracji z natury rzeczy powinnaby przypaść prawicy, stojącej w opozycji do rządu; ale prawica bynajmniej nie kwapi się do tej roli, tak sprzecznej z jej przekonaniami politycznemi.

Natomiast rolę takiego obrońcy w sposób dość hałaśliwy stara się wziąć na siebie Polska Partja Socjalistyczna — w nadziei, że łatwowierny ogół zapomni tej partji jej rolę w chwilach majowych, — zapomni, że ta to partja przez poparcie przewrotu majowego doprowadziła Polskę do stanu obecnego i choć niby kaje się rzekomo, to jednak można się spodziewać, że znów poświęci swą cnotę demokratyczną przy najbliższej nadającej się okazji wzamian za nadzieję pochwycenia władzy w swe ręce.

Jedyną partją polityczną w Polsce, która nie zachwiała się nigdy w wierności sztandarowi demokracji, jest Narodowa Partja Robotnicza, ale ta widocznie nie potrafi dostatecznie się reklamować i zapewniać społeczeństwo o swych zasługach.

A jednak hasło demokratyzmu ma wielką widocznie potęgę, skoro walka o przyszłość Polski wyraźnie już kształtować się poczyna pod hasłem: z demokratyzmem czy przeciw niemu.

J. Lipowiecki.

Od Administracji

Wielu naszych prenumeratorów reklamuje nieotrzymanie poszczególnych numerów. Zaznaczamy, iż pismo regularnie wszystkim wysyłamy, zatem brak numerów należy reklamować u listonoszów, względnie na poczcie.

Pragnąc jednakże umożliwić naszym prenumeratorom skompletowanie „Placówki" od Nr. 1-ego, prosimy uprzejmie o zawiadamianie Administracji kartą pocztową, jakie numery do kompletu brakują, poczem odwrotną pocztą, w miarę posiadanego zapasu, brakujące numery prześlemy.

Podkreślamy, iż Nr. Nr. 16, 17, 20, 22, 24, 28 i 30 zostały skonfiskowane i wydane i po konfiskacie za kolejnym numerem, zatem przy kompletowaniu pisma należy zwracać uwagę na kolejność dat, a nie numerów.

KU WALCE CZY POROZUMIENIU?

7. SPORY GRANICZNE MIĘDZY POLSKĄ A NIEMCAMI.

Anglja, pragnąc odciągnąć Niemcy od polityki światowej, zrobiła wszystko co mogła w traktacie wersalskim, aby całą ich uwagę zaprzątnąć kwestjami lądowemi i skierować je na wschód przeciw Polsce. Rozumiejąc dobrze, że dla ekspansji niemieckiej trzeba zostawić jakąś drogę, Anglja wskazała Niemcom ręką na wschód i rzuciła im Polskę na pastwę, a poprzez nią otworzyła wielkie nadzieje na opanowanie Rosji.

Anglikom sekundowali poniekąd Włosi, którzy również w kwestjach wschodu wypowiadali się za Niemcami, wychodząc z podobnych, co i tamci założeń, pragnąc widocznie odwrócić uwagę od Adrjatyku.

Zapomniano tylko o jednem, że kwestja polska nie dzieli Niemcy z Rosją, lecz przeciwnie łączy, jednocząc je we wspólnym froncie antypolskim. Stąd ten dziwny i niezrozumiały na pozór sojusz konserwatywnych nacjonalistów niemieckich z bolszewikami rosyjskimi, stąd uzbrajanie przez Niemców bolszewizmu do pochodu na Europę, stąd igranie z ogniem komunistycznym nawet we własnym domu, gdzie partje nacjonalistyczne nieraz łączyły się z komunistami niemieckimi we wspólnym ataku na republikę.

Polityka angielska i po traktacie wersalskim dążyła do tego, aby postawić Niemcy oko w oko z kolosem rosyjskim. A że na drodze ku temu stała Polska, więc Lloyd George poświęcał ją bez skrupułu temu celowi, tem się tłumaczy niechęć do przyznania Polsce szerszych granic na wschodzie, tu leży podstawa tak zwanej linji Curzonowskiej i przyczyna odmowy pomocy angielskiej w Spa.

Z punktu widzenia jednak szerszej polityki angielskiej jej dotychczasowe posunięcia trudno uważać za udatne. Nie leży bowiem wcale w interesie Anglji, by doprowadzić do połączenia się z sobą dwóch najpotężniejszych mocarstw kontynentalnych w Europie. Taki bowiem sojusz może się stać łatwo groźbą dla samej Anglji. Przeciwnie silna Polska jest dla tej ostatniej potrzebną, jako hamulec przeciwko obu jej lądowym antagonistom. Toteż im bardziej zaostrzyły się stosunki angielsko - rosyjskie, tem życzliwszem okiem konserwatyści angielscy patrzyli na Polskę.

W każdym razie dotychczasowe tendencje angielskie na wschodzie Europy nie wnosiły tam spokoju, lecz przeciwnie raczej dążyły do stworzenia tam stałego zarzewia konfliktów.

Cała granica między Polską a Niemcami jest tak zrobiona, jakby umyślnie chciano nie rozstrzygnąć definitywnie żadnej spornej kwestji, lecz zostawić pole do wiecznych sporów.

Przedewszystkiem, jakże wypaczonym został ów punkt pokoju Wilsonowskiego, który mówi o otwarciu Polsce dostępu do morza. Tu już odezwała się tradycyjna zasada angielska, aby właśnie utrudniać wszystkim narodom dostęp do morza. „Królowa mórz" zazdrośnie strzeże swego panowania i niechętnym okiem spogląda na każdego kto wkracza w dziedziny, uważane przez nią za jej domenę. Toteż zakorkowanie ujścia Wisły Wolnem Miastem Gdańskiem należy uważać za typowo angielskie załatwienie sprawy.

W ten sposób Gdańsk, który niewątpliwie nader szybko nabrałby pod względem narodowościowym charakteru polskiego, jak to już się stało ze wszystkimi miastami w dawnym zaborze pruskim, przetworzył się na sztuczną cieplarnię niemczyzny nad Bałtykiem. W przywilejach Wolnego Miasta, wyzyskiwanych przez wojujące prusactwo, znalazło to ostatnie sztuczną ochronę przed naturalnym naporem polszczyzny, żywiołowo dążącej ku morzu. Naturalną siłą rzeczy prędzej czy później Gdańsk musi być polskim, bo takim jest jego los, który go postawił na linji dziejowego rozwoju narodu naszego. Sztuczne tamy mogą opóźnić zalew fal żywotnych odradzającej się Polski, ale one będą zawsze parły do naturalnego ujścia do morza, tak samo jak wody Wisły. I jak wód wiślanych żadna siła nie odgrodzi od Baltyku, tak i przed falami polskimi nie ostoi się żadna przeszkoda.

Czuje to dobrze obecny sprusaczony Gdańsk i rozpaczliwie wzywa pomocy Europy, by sztucznie jego pruskość ochroniła. Ale prawdziwy interes Gdańska łączy go nierozerwalnie z Polską, bo cały byt tego miasta, cały jego rozwój i cała przyszłość ściśle uzależnione są od Polski. Gdańsk nie ma wyboru: o ile będzie polskim, otwierają się przed nim najświetniejsze perspektywy, gdy niemiecki Gdańsk skazany jest na powolne zamieranie. Toteż im bardziej do głosu dochodzą rdzenne żywioły gdańskie, im bardziej zrzucają z siebie narzucony im zewnętrzny pokost pruski, tem łatwiej im przychodzi porozumienie się z Polską.

Niemcy traktują nazewnątrz Gdańsk, jak swą wysuniętą forpocztę, z której mogą ostrzeliwać Polskę gradem pocisków przed forum międzynarodowem. W skrytości zaś ducha uważają go za pętlę, którą można dusić szyję polską. Niebywale jednak szybki rozwój Gdyni kładzie bezpowrotnie kres wszelkim ich marzeniom, by Gdańsk mógł dyktować swe warunki Polsce i hamować jej rozwój gospodarczy. Jednocześnie musi się skończyć rola Gdańska, jako kości niezgody między nami, a Niemcami.

Drugą poważną kwestią w sporze polsko - niemieckim jest Górny - Śląsk. Zamiast zadośćuczynić wymaganiom zasady narodowościowej, nakazującej przyłączyć do Polski cały Górny Śląsk, jako kraj o znacznej przewadze ludności polskiej, pod wpływem Anglji uczyniono fatalne odstępstwo od przyjętych ogólnych wytycznych. Nie dokonano tu aktu sprawiedliwości dziejowej, wymagającego oddania Polsce tej części prastarej jej dzielnicy, której ludność pomimo kilkusetletniej germanizacji dochowała wiary polskości i z orężem w ręku broniła swych praw do połączenia się z macierzą. Sztucznie dla zaspokojenia niczem nie usprawiedliwionych roszczeń niemieckich rozdarto kraj ten na części. Najbardziej zaś sztucznem było wykrojenie dla Niemiec z żywego ciała gospodarczego, stanowiącego zwartą całość organiczną, Bytomia wraz z obwodem, by choć część kopalni węglowych zostawić w rękach niemieckich. Pogwałcono tu nawet tezę niemiecką, dowodzącą zupełnie słusznie nierozerwalności obszaru przemysłowego.

Jako główny argument przeciwko Polsce wysuwali Niemcy rzekomą naszą niezdolność gospodarczą, nieumiejętność i nieprzygotowanie do administrowania tak złożonym kompleksem ekonomicznym,

Ku walce czy porozumieniu (c. d.)

rozbudzali obawę, że zmarnujemy ich dorobek w tej dziedzinie. Rzeczywistość szybko zadała kłam tym insynuacjom. Okazało się, że za rządów polskich kopalnie śląskie potrafiły zdobyć sobie nowe tereny zbytu nawet kosztem starego, oddawna na nich zagnieżdżonego przemysłu angielskiego.

Okazała się też w całej pełni rzecz stokroć jeszcze ważniejsza. Mianowicie, że przemysł górnośląski dopiero w połączeniu z Polską znalazł dla siebie należyte podstawy rozwojowe, że wchodzi w orbitę jej życia gospodarczego, stanowi doskonale jego uzupełnienie i tworzy z nim razem zwartą całość gospodarczą. Wewnętrzny rynek polski jest najlepszym rynkiem zbytu dla przemysłu górnośląskiego, przed którym otwierają się widoki rozwoju znacznie większego, niż przy Niemcach.

Zrastanie Górnego Śląska ze swą macierzą posuwa się nader szybko dzięki temu przedewszystkiem, że istnieją naturalne po temu warunki. Temu procesowi naturalnemu nic Niemcy przeciwstawić nie mogą, dlatego też samo życie i tu zmusi ich do pogodzenia się ze stanem istniejącym.

W. D. Goździkowski.

Z PUBLICYSTYKI SANACYJNEJ

Upynęło już przeszło trzy lata od wypadków majowych, które faktycznie zmieniły nasz ustrój prawno - państwowy — formalnie przekształcając go tylko nieznacznie.

Ogromna większość tych, co popierała ten przewrót czynnie i comu sprzyjała, nie biorąc w nim udziału osobistego — po trzech latach doświadczeń, rozczarowała się do „nowego ustroju" i „nowych metod" działania. P. P. S., „Wyzwolenie", Stronnictwo Chłopskie", wraz z licznym zastępem ludzi nienależących do żadnego stronnictwa — dziś znajduje się „po drugiej strony barykady". W ciągu trzech lat ostatnich nowi panowie położenia mieli ręce swobodne: nie liczyli się ani z ciałami ustawodawczemi, ani z sądownictwem, ani z najwyższą izbą kontroli państwa. „Twórczości" ich nic nie stało na przeszkodzie. Obecnie można więc ocenić rezultaty tych rządów pomajowych. I istotnie ocena ich w społeczeństwie już się odbyła a jeżeli od czasu do czasu publicystyka niezależna wraca do niej, to robi to nie dlatego, aby były jeszcze jakieś wątpliwości zasadnicze lecz celem wyświetlenia tylko pewnych szczegółów wzmacniających pogląd już ustalony.

Obóz sanacyjny zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że w opinji społeczeństwa już przegrał, że obecnie opiera się tylko mechanicznie na sile fizycznej, która jednak także może, przy pewnych okolicznościach zawieść.

W obozie sanacyjnym panuje chaos, z którego wynikają daleko idące scysje, zapowiadające zbliżający się koniec awantury.

Wśród publicystów sanacji są ludzie rozmaici. Widzimy tam cały szereg typów poczynając od młodzieńców pod względem umysłowym w rodzaju pana Mackiewicza, poprzez ludzi nawpół dojrzałych aż do profesorów w stylu profesora Jaworskiego z Krakowa.

Do plejady tych publicystów należy także prof. Estreicher, również z Krakowa, redaktor „Czasu".

Chcąc być sprawiedliwym nie można stawiać na równi prof. Jaworskiego i Estreichera. Pierwszy idzie z sanacją bez żadnych zastrzeżeń i w radykaliźmie ustrojowym przewyższa wszystkich za wyjątkiem może p. Mackiewicza, Natomiast prof. Estreicher jest nieco ostrożniejszy i usiłuje zachować przynajmniej pozory krytycyzmu.

W zeszycie lipcowym „Przeglądu Współczesnego" znajdujemy jego artykuł p. t. „Walka z partyjnictwem". Niema tam myśli nowych, ani też nowych argumentów na korzyść starych poglądów sanacyjnych. Co nas jednak w nim uderza, to pewnego rodzaju typowość zawartego sanacyjnego rozumowania. Z tego tylko względu zatrzymujemy na nim uwagę czytelników.

II.

Na wstępie muszę wyrazić zdziwienie, że prof. Estreicher nadał swemu artykułowi, który jest przecież poświęcony specjalnie naszym sprawom, charakter wyłącznie teoretyczno - abstrakcyjny, a nie praktyczno - polityczny. Autor pisze jakgdyby natychmiast po przewrocie. Czytelnik mimowoli spogląda na okładkę „Przeglądu Współczesnego", aby sprawdzić, czy ma w ręku zeszyt lipcowy z 1926, czy też z 1929 r. ?

Istotnie, po trzech latach doświadczeń prof. Estreicher mógłby pisać mniej abstrakcyjnie, a bardziej konkretnie. Artykuł sprawia wrażenie, że pisał go człowiek nie będący w kraju, nie zdający sobie sprawy, co się naokoło niego dzieje. Autor zwalcza naturalnie partyjnictwo, ale nie całkowicie, godzi się więc na istnienie stronnictw politycznych, ale chciałby, aby istniała w nich elita. Zarazem zaznacza, słusznie zresztą, że u nas kultura polityczna jest niska, że brak nam wyrobienia politycznego, że więc rządy parlamentarne są u nas szkodliwsze niż gdzieindziej, tembardziej, że mamy więcej niż gdzieindziej stronnictw.

Otóż zwrócić należy uwagę na to, że jeżeli prawdą jest że ogół nasz jest mało politycznie wyrobiony, to z tego bynajmniej nie wynika jeszcze, aby ludzie stojący poza stronnictwami byli więcej wyrobieni od tych co są w nich i nimi kierują. W rzeczywistości jest, wprost przeciwnie. Ludzie, którzy pracowali już w stronnictwach, a przez to samo zajmowali się polityką, posiadają niewątpliwie większe wyrobienie od tych, co świeżo dopiero zaczęli się nią zajmować.

Zresztą zwracano już nieraz w publicystyce naszej uwagę na to, że właściwie tam, gdzie nie ma rządów parlamentarnych, zamiast stronnictw rządzą kliki. Tak jest i u nas. Kliki zaś różnią się od stronnictw tem, że czynnikiem łączącym ich członków nie są szerokie programy społeczno - polityczne, lecz osobistości pojedyncze mniej więcej wybitne, albo związki towarzyskie, czy też wreszcie — co się najczęściej zdarza — interesy.

Z wielkiem zdziwieniem przeczytałem, że w Anglji przeciwwagę partyjnictwu tworzy król. Jest to istotnie rewelacja, odkrycie prof. Estreichera.

Korona w Anglji cieszy się istotnie szacunkiem, jest ona symbolem państwa, jego ciągłości; nikt jednak twierdzić nie będzie, że w Anglji królowie przeciwstawiają się partjom. Król w Anglji panuje, ale nie rządzi. Edward VII miał wielki wpływ na politykę zagraniczną, ale dlatego, że wytyczne tej polityki odpowiadały poglądom opinji prawie zupełnie jednolitej.

Panujący w Anglji nie biorą udziału w walkach partyjnych, ani w nich nie pośredniczą. Pojedyńcze wypadki pośrednictwa trafiały się jeszcze w połowie wieku XIX. Dziś ich niema.

Prof. Estreicher mówiąc o niedojrzałości Polski do rządów parlamentarnych rozwodzi się nad brakiem u nas funduszów partyjnych, odpowiedniej prasy, biur i t. p. Nie ulega wątpliwości, że braki te dają się we znaki stronnictwom ale brak dobrej, niezależnej od rządu prasy, brak funduszów partyjnych nie dowodzi tego, że rządy nieparlamentarne będą lepsze. Zresztą prof. Estreicher mówiąc o tych naszych brakach przesadza.

Jeżeli weźmiemy nasze stronnictwa polityczne to okaże się, że pomimo pewnych niedomagań, posiadają one i pewne fundusze i prasę. Wady tej prasy zależą od ogólnego poziomu kultury politycznej. Jeżeli jest ona niską, to i prasa nie partyjna nie będzie lepszą.

Co zaś do organizacji stronnictw, to we Francji na ogół nie są one lepiej zorganizowane niż w Polsce, a jednak rządy parlamentarne okazały się tam lepsze od nieparlamentarnych. We Francji tylko monarchiści, socjaliści i komuniści posiadają ścisłą organizację; nie mają jej ani radykali społeczni, ani stronnictwa prawicowo - centrowe.

P. Estreicher twierdzi, że skoro w stronnictwach, z powodu niskiego poziomu kultury politycznej nie może się wytworzyć elita, to demagodzy wysuwają się naprzód i kierują stronnictwami.

Wszystko to bywa, ale nie należy stawiać zagadnień politycznych na płaszczyźnie pojęć bezwzględnych. Pomimo ubóstwa naszej kultury politycznej niemożna twierdzić, aby nie było u nas wogóle w stronnictwach ludzi wybitnych i zdolnych i aby wszyscy byli demagogami.

Z drugiej strony zapytuję prof. Estreichera, gdzie jest i z kogo się składa u nas ta elita zdolna do rządów nieparlamentarnych, nie wchodząca w skład stronnictw politycznych.

Czy panowie Car, Czechowicz, Miedziński, Prystor, Składkowski Sławek tworzą tę elitę? Czy istotnie są oni więcej przygotowani do rządzenia państwem od panów Barlickiego, Chacińskiego, Jankowskiego, Liebermana, Rataja, Rybarskiego, Thugutta, Winiarskiego i innych pozostawiając już na stronie działaczy starych, jak Bobrzyński Michał, Daszyński, Diamand, Dmowski, Głąbiński i inni?

Rozumowanie prof. Estreichera jest powierzchowne, nieścisłe, a nawet lekkomyślne. Wskazuje on na wady parlamentaryzmu, u nas zwłaszcza, i zaleca rządy nieparlamentarne. Po trzech latach doświadczeń należało zrobić bilans rządów nieparlamentarnych w Polsce i odpowiedzieć na następujące pytania?

1) Czy rządy pomajowe, w porównaniu z poprzedniemi okazały się bardziej bezstronnemi, a więc, czy powoływały na poważne stanowiska ludzi wiedzy i talentu, bez oglądania się na ich kierunek politycznego myślenia?

2) Czy przyczyniły się one do uspokojenia umysłów w państwie, czy antagonizmy społeczno - polityczne i narodowe osłabły od połowy maja 1926 r.?

3) Czy nasze rządy nieparlamentarne, niekrępowane przez ciała ustawodawcze były i są konsekwentne, czy ujawniają jakiś wyraźny plan w zakresie polityki zagranicznej i wewnętrznej, albo socjalnej czy narodowej? Czy pod tym względem stoją one wyżej od rządów poprzednich?

4) Czy zaprowadziły one i ustaliły w państwie praworządność tak nam potrzebną, po stuletniej niewoli w zaborze rosyjskim, w którym pod tym względem działo się bardzo źle?

5) Czy w administracji i w wojsku nastąpiło większe niż poprzednio ustalenie się stosunków, czy oficer, czy urzędnik mają dziś stanowiska bardziej zabezpieczone niż poprzednio?

Trzeba było odpowiedzieć na te pytania. Tak, panie profesorze, bez takiej odpowiedzi artykuł pański jest tylko demagogiczną wycieczką przeciwko parlamentaryzmowi, jałową, bo nikogo nie przekona i pozbawioną wszelkiej poważnej podstawy.

Co do mnie, to nie uważam za potrzebne odpowiadać na te pytania, ponieważ „Placówka" ciągle na nie odpowiada.

III.

Prof. Estreicher rządom parlamentarnym przeciwstawia rządy nieparlamentarne, które formułuje w sposób następujący: „...silna władza Głowy Państwa, która może w razie potrzeby sankcji uchwałom partyjniczym odmówić, parlament rozwiązać, ministrów pociągnąć do odpowiedzialności — nie potrzebuje być dziedzicznym monarchą, aby równoważyć panoszące się partyjnictwo".

Szanowny profesor zdaje się nie przewidywać jednego, że w społeczeństwie z niską kulturą polityczną takiego mądrego, wszechwiedzącego prezydenta może zabraknąć. A potem skąd ta pewność że prezydent taki nie otoczy się kliką, albo że klika go nie opanuje? Dziecinna wiara w cudownych ludzi stojących ponad ogółem, ponad stronnictwami? Gdzie są tacy ludzie? W Stanach Zjednoczonych choć nie ma rządów parlamentarnych sprawowanych przez ministrów odpowiedzialnych przed parlamentem, — są rządy partyjne sprawowane przez prezydenta będącego mężem zaufania partji. W Rosji carowie otoczeni byli klikami, albo sami tworzyli kliki. W Niemczech za Wilhelma II były kliki dworskie!

P. Estreicher chce utrzymać współrządy parlamentu i prezydenta. Co to znaczy współrządy? W sprawach tych nie może być środka, rząd musi być odpowiedzialny albo tylko przed parlamentem, albo tylko przed głową państwa, w przeciwnym razie żaden czynnik w państwie odpowiedzialnym nie będzie.

Słabość wywodów prof. Estreichera rzuca się w oczy. Zwolennicy rządów nieparlamentarnych czując słabość swej pozycji nie probują nawet odpowiadać na stawiane im wielokrotnie zarzuty, lecz z uporem manjaków i ciemnych fanatyków szczerych, czy tylko pozornych, powtarzają swe wywody, nie wytrzymujące krytyki.

Nasza rzeczywistość jest najlepszą odpowiedzią na te „sporne" zagadnienia prawno - państwowe.

Ludwik Kulczycki.

NA ŚWIATŁO DZIENNE

(Ciąg dalszy)

„Udział Rządu w wyborach"

Na podstawie dotychczasowych relacyj z obficie zebranego materjału — w sprawozdaniu sejmowej komisji administracyjnej stwierdziliśmy, że władze administracyjne kroczyły dwoma szlakami w celu zrealizowania tego, co p. minister Składkowski nazwał w Sejmie w dn. 31 maja 1928 r. skromnie „udziałem Rządu w wyborach". Jednym była osławiona „rzeź list", drugim — bardziej misternie przeprowadzona „korrektura wyborów".

Pozostaje do wyjaśnienia czy w tych dwóch formach wyczerpywał się udział urzędów i urzędników państwowych w akcji wyborczej. Rzecz to niewątpliwie ważna ze stanowiska konieczności gromadzenia doświadczeń młodej naszej administracji.

Pozatem zaś nie powinna ona ujść uwadze obywateli, którzy niewątpliwie przyjmą z zadowoleniem do wiadomości fakt, stwierdzający jak rozległe i wszechstronne są pola zainteresowań, z których nasza administracja zdaje celujący egzamin dojrzałości.

Misterne pouczenia

Niestety, nie wszystkie w tym przedmiocie materjały są dostępne dla szerszej opinji. Skarży się na to również sprawozdawca sejmowy, stwierdzając, że:

w braku oryginalnego tekstu instrukcji p. Ministra można ją będzie fragmentarycznie ustalić na podstawie wyników działalności poszczególnych województw i starostów. Działalność była tak wielostronna i bogata w szczegóły, że dla utrwalenia w pamięci należy w tem miejscu garść przykładów zanotować.

W połowie lutego 1928 r. rozesłało Ministerstwo Spraw Wewnętrznych do swych podwładnych władz okólnik, w którym w sposób misterny poucza się te władze, w jaki sposób mają one „robić wybory". Tezy Sądu Najwyższego, wypowiedziane w wyrokach, dotyczących wyborów, zestawione są w tym okólniku w taki sposób, by mogły zachęcająco podziałać na starostów.

Okólnik ten przedewszystkiem na wstępie przypomina starostom, że pożądanem jest, aby w skład komisyj (okręgowych i obwodowych) weszły „jednostki ze wszech miar pewne i oddane polityce obecnego Rządu".

Nadużycia... w imię wyroków Sądu Najwyższego

Następnie idzie cały szereg praktycznych zaleceń — jak mówi sprawozdawca sejmowy — do popełniania nadużyć... w imię wyroków Sądu Najwyższego.

Czy interes dobra publicznego zezwala w danej miejscowości na liberalniejszą wykładnię ustaw zgromadzeniowych, oraz czy i do jakich ugrupowań taką wykładnię należy stosować — zależy w dużej mierze od indywidualnych poglądów pp. starostów.

W sprawie wolności zgromadzeń przedwyborczych trzeba z prawnego punktu widzenia zauważyć, że podyktowana znajomością stosunków miejscowych i potrzebami aktualnej polityki — konieczność nierównomiernego traktowania wszystkich stronnictw, nawet w razie wniesienia protestu przeciw wyborom, nie pociągnie za sobą unieważnienia ich wyników, albowiem tak Sąd Najwyższy w wyroku z 27.10 1920 r. L. 3462 orzekł.

I dalej w tym samym stylu „pouczenie", że ani ewentualne niewpisanie do list pewnej liczby wyborców z powodu wadliwej metody wpisów, ani pogwałcenie przepisu ordynacji wyborczej, zabraniającego w dniu wyborów agitacji w promieniu 100 m. od budynku wyborczego, ani wreszcie wręczanie koperty z kartą wyborczą przewodniczącemu komisji nie bezpośrednio, ale za pośrednictwem innych osób — nie mogą spowodować nieważności głosowania.

System... uchybień

Powyrywano tu z różnych wyroków Sądu Najwyższego poszczególne fragmenty, najprawdopodobniej nie mające w danych wypadkach decydującego znaczenia dla wydania decyzji o ewentualnem unieważnieniu aktu wyborczego, by zasłaniając się tak decydującym autorytetem zalecać ś w i a d o m e organizowanie tego rodzaju uchybień, które zebrane w s y s t e m — dają zupełnie określone wyniki.

Klasycznym pod tym względem jest powoływanie się na wyrok Sądu Najwyższego z 10 maja 1919 r., w którem stwierdzone zostało, że

otwieranie przesłanych przez obwodowe komisje pakietów i sprawozdań należy do czynności przedwstępnych które mogą być dokonane przez przewodniczącego, nie czekając na zebranie komisji. I ordynacja wyborcza nie zawiera przepisu, by te czynności miały być wykonane na posiedzeniu komisji.

Obowiązek... lojalności

Nauka tak przejrzyście i zachęcająco wyłożona nie poszła w las. Znalazła w pp. wojewodach i starostach zdolnych, a co najważniejsza, gorliwych wykonawców. Niektórzy z nich w gorliwości tej szli tak daleko, że nawet w drodze formalnych enuncjacyj urzędowych wzywali urzędników i funkcjonarjuszy państwowych do popierania i głosowania za listę Nr. 1. Wojewoda poleski p. Krahelski w okólniku z daty Brześć n/B. dn. 15.II. 1928 Nr. II. O. A. 7 rozwija szczegółowo „linję postępowania w akcji wyborczej", by po frazesach o tem, że przekonania polityczne urzędników są sprawą ich sumienia obywatelskiego i t. p. — zakonkludować wyrażeniem oczekiwania, że

urzędnicy państwowi przy zbliżających się wyborach oddadzą głos tym kandydatom, którzy dają gwarancję, że będą popierać zamierzenia marsz. Piłsudskiego i jego Rządu. Postępując tak, nie tylko uczynią zadość obowiązującemu ich postulatowi lojalności, ale także należycie spełnią swój obowiązek obywatelski.

To przynajmniej jasne: o b o w i ą z e k l o j a l n o ś c i, przy którym obowiązek obywatelski zakradł się widocznie dla... uspokojenia sumienia.

Jak sanowano „Piasta"?

Trzeba przyznać, że i inni wojewodowie, względnie ich „podwładni" (a może „aniołowie opiekuńczy"?) rozwinęli bardzo ożywioną działalność wyborczą.

Organizacją rządowego stronnictwa na gruncie województwa krakowskiego zajął się krakowski urząd wojewódzki, a głównie wicewojewoda dr. Duch, oraz naczelnik wydziału bezpieczeństwa dr. Dziadosz. Historyczna odezwa posła Jakóba Bojki, zapowiadająca rozłam w „Piaście", zredagowaną została z polecenia tych dwóch przedstawicieli urzędu wojewódzkiego przez jednego z redaktorów „Ilustrowanego Kurjera Codziennego", a następnie przez posła Bojkę podpisana. Wydrukowaniem jej oraz założeniem organu nowego stronnictwa „Chłop Polski", zakontraktowaniem redaktorów, drukarni i kolporterów zajęli się również wspomniani urzędnicy województwa.

Pachciarze ruchu ludowego

Przygwożdżenie tego „historycznego" faktu, ujawniającego smutny koniec tak szczytnej kiedyś roli, jaką w ruchu ludowym odegrał Jakób Bojko — warte jest jeszcze jednego przypomnienia. Oto okazuje się, że bodaj iż decydującą rolę w akcji „uzdrowienia" ruchu ludowego i wyzwolenia go z pod wszechwładzy znienawidzonego Witosa — odegrali dwaj — semici. Palmę pierwszeństwa dzierży byly „dziedzic" dóbr skowierzyńskich w pow. Tarnobrzeskim, Mojżesz Kanarek. On to „wyszukał" Bojkę, nawrócił go i... przekonał... „Historyczną" odezwę pisał drugi semita, naczelny redaktor „Il. Kurjera Codziennego" dr. Ludwik Rubel.

Nie lada więc chłopów wyszukała sanacja dla „położenia" niewygodnego Witosa. Ale znaleźli się i prawdziwi, którzy w tak zainicjowane dzieło „odrodzenia(!?)" ruchu ludowego uwierzyli. A na ich czele 70-letni weteran tego ruchu, popularny autor głośnej w swoim czasie rozprawy p. t. „Dwie dusze". Była to rzecz o walce dwóch dusz: chłopskiej, prężącej się do czynu i wolności i starej, będącej przeszkodą na tej drodze: pańszczyźnianej...

Która z tych dwu dusz przemówiła w starym Bojce, gdy wiązał się z Kanarkami i Rublami — nie trudno zgadnać. I żeby też choć „uwiedli" go prawdziwi „panowie". Ale jakby na przekór, sanacja dla uwodzenia naiwnego chłopa odkomenderowała... tych z rodu... pachciarzy.

KSIĄŻKI

LUDWIK KULCZYCKI, profesor Szkoły Nauk Politycznych w Warszawie. — NAUKA O PAŃSTWIE. — Warszawa, 1929. Nakład Instytutu Społecznego. — „W czasie, kiedy zagadnienia prawnopaństwowe mają u nas wielkie znaczenie i wysuwają się na plan pierwszy", jak to słusznie zaznacza w przedmowie do swej ostatniej pracy wybitny znawca tych zagadnień, prof. Ludwik Kulczycki, niezmiernie... na czasie ukazuje się książka, traktująca ze stanowiska naukowego fundamentalne problematy ustroju państwowego.

Praca prof. Kulczyckiego, we wstępie ogólnym i w dwuch częściach zasadniczych — socjologicznej i prawnej, daje zwięźle, ale wyczerpująco ujęty zarys tych podstawowych zagadnień prawnoustrojowych, o których w Polsce obecnie tak wiele się mówi, a o których — niech elita umysłowa Polski uderzy się w piersi — tak mało się w gruncie rzeczy wie.

Z książki prof. Kulczyckiego, przeznaczonej w pierwszym rzędzie dla słuchaczów Szkoły Nauk Politycznych, każdy, kto interesuje się zagadnieniami prawnoustrojowemi — a któż w Polsce może się obecnie niemi nie interesować? — nauczy się bardzo wiele.

Dlatego też ukazanie się pracy prof. Kulczyckiego, nie tylko ze stanowiska wzbogacenia ubogiej polskiej literatury naukowej, ale właśnie w obecnym momencie ze szczególnem zadowoleniem powitać należy.

*

HENRYK TENNENBAUM. — OŚRODKI DYSPOZYCJI GOSPODARCZEJ W POLSCE. — Warszawa, 1929. Nakł. Instytutu Wydawniczego „Bibljoteka Polska". — Jeden z nielicznych u nas znawców zagadnień współczesnego międzynarodowego życia gospodarczego, a przytem jeden z najprzedniejszych umysłów ekonomicznych współczesnej Polski, prof. Henryk Tennenbaum w ostatniej swej pracy stawia w sposób jasny i śmiały zagadnienie uchwycenia przez Polskę rytmu zachodnio - europejskiego życia gospodarczego.

Autor wychodzi z założenia, niewątpliwie słusznego, że przyszłość Polski, jak to zresztą udowadniają Jej dzieje, leży na szlakach ogólno - europejskiego rozwoju gospodarczego, idącego w kierunku tworzenia nowych form organizacji życia ekonomicznego, do których Polska winna się bezwzględnie dostosować.

Te nowe, będące zresztą w ciągłym ruchu przetwórczym, formy nowoczesnej organizacji gospodarczej w postaci wielkich koncernów w skali narodowej i międzynarodowej, są w pracy prof. Tennenbauma prześwietlone w sposób kapitalny. W związku z tem autor traktuje w szerokiej płaszczyźnie i w sposób wszechstronny zagadnienie stosunku Państwa do życia gospodarczego i oświadcza się zdecydowanie przeciwko tendencji tworzenia ośrodka polskiego życia gospodarczego w koncernie przedsiębiorstw państwowych, natomiast za tendencją wciągania do Polski kapitału zagranicznego i wytwarzania ośrodków polskiej dyspozycji gospodarczej w postaci towarzystw lokalnych, zarządzających interesami przemysłowych koncernów zagranicznych w Polsce.

KRONIKI TYGODNIOWE

KRONIKA O WYSTAWIE POZNAŃSKIEJ. — O GOŚCIACH ZAGRANICZNYCH. — NIEMCY. — SZKOŁA NIEMIECKA W POLSCE. — SZWAJCARZY NA POLSKIEJ REWJI LUDOWEJ. — BARCELONA I POZNAŃ. — NIE NAJGORSI JESTEŚMY MIĘDZY NARODAMI.

W zeszłym tygodniu byłem w Poznaniu na Wystawie.

— Jakie pan odniósł wrażenie?

— Przybijające!

— Co pan mówi — nie podobała się panu?

— Wprost przeciwnie. Jestem przytłoczony, dosłownie od „czuba aż po pięty", „przygnieciony" natłokiem radosnych doznań...

Dlatego też pisząc o wystawie w Poznaniu, stwierdzę jedno: Chcąc być dokładnym, trzebaby — „treścią wystawową" zapełnić całe folja... Będę sprytniejszy. Omówię jedynie pewne „części", pewne luźnie może, lecz możliwie ściśle z życia oddane momenty...

— Co uderza na wstępie?

— Nawał cudzoziemskich gości!

O nich właśnie i o ich wrażeniach i doznaniach wystawowych pragnąłbym napisać.

Znajduje się na wielkim placu, w okolicy t. zw. wieży górnośląskiej. „Ryczą megafony". Zapowiadacz oznajmia:

— Będzie mówił redaktor Kozubski!

Otóż i on:

— Znamiennym objawem, który obserwujemy u gości zagranicznych jest to, że wszystkie wycieczki zagraniczne przedłużają swój pobyt w Poznaniu.

Pytałem się — dlaczego? Odpowiedziano mi, że powodem tego jest zachwyt, jakiego doznają goście zagraniczni. Rozmawiałem w tej sprawie z jednym z holendrów. Oświadczył mi wręcz:

— Ja zawsze interesowałem się Polską, choć w niej nigdy nie byłem. Czytałem o was sporo. Ale muszę bezstronnie przyznać, że — ani na chwilę, ani marzyłem, żebyście mieli ten stopień kultury w każdej dziedzinie życia, jaki — wykazuje wystawa.

Bardzo charakterystycznem jest zdanie niemców o wystawie.

Zatem należy przyznać, że z pośród gości zagranicznych, po czechosłowakach, najwięcej przyjeżdża niemców.

— Nie są to tylko — dziennikarze. Przybywa cały szereg rzemieślników, kupców, przemysłowców i t. p.

— Po co?

— Chcieliśmy przekonać się osobiście, jak... daleko zaszła kompromitacja polska z tą waszą wystawą powszechną...

— A z czem wyjeżdżają?

Bardziej zawzięci niemcy nie umieją

MOZE TAK—MOZE NIE

Skonfiskowane

w N-rze 30 „Placówki" przez Komisarjat Rządu. Sąd jednak konfiskaty nie zatwierdził.

P. Henderson o sytuacji politycznej w Polsce

Opinję publiczną w Polsce zainteresuje niewątpliwie pogląd, jaki na sytuację polityczną w Polsce posiadają dzisiejsi sternicy polityczni Wielkiej Brytanji.

Świeżo poważne czasopismo francuskie „La Revue Mondiale" w num. z 1 lipca r. b. zamieściło artykuł p. Hendersona, sekretarza stanu dla spraw zagranicznych w rządzie Mac Donalda, z którego wyjmujemy następujący ustęp:

„Zbytecznem jest wyliczać listę wszystkich dyktatur, jakie są na świecie, ale poza wypadkiem, jaki przedstawia Litwa, jest jeden, który zasługuje na szczególną wzmiankę: w Polsce. Piłsudski w dalszym ciągu nie przestaje igrać z tą ideą, by się ogłosić dyktatorem wojskowym. Tonem człowieka nieodpowiedzialnego—obraża instytucje demokratyczne, i ludzie pracujący w Polsce musieli już znieść różne rodzaje gwałtów i prześladowań, w następstwie tej nieodpowiedzialności. A na przykładach Litwy i Polski, możemy lepiej niż indziej rozpoznać niebezpieczeństwa, na które dyktatury narażają pokój światowy.

Nie możemy oprzeć się poczuciu najgłębszej nieufności co do inteligencji i dobrej woli Waldemarasa i Piłsudskiego. Obaj oni arrogowali sobie władze dyktatorskie, które przez swój antagonizm mogłyby roznieść pożar na cały świat. Dyktatury kryją w sobie nie tylko ucisk krajów, w których istnieją ale także zwiększenie niebezpieczeństw wojny. To też zawsze nadewszystko domagamy się, odbudowy demokracji nie tylko w sferze polityki wewnętrznej, ale także i w sferze polityki zewnętrznej"...

W oryginale jak następuje:

"Il est superflu d'enumerer la liste de toutes les dictatures qui existent dans le monde, mais outre le cas de la Lithuanie, il en est un seul qui merite une mention speciale: en Pologne. Pilsudski continue a jouer avec l'idee de se proclamer dictateur militaire. Avec le ton d'un irresponsable, il outrage les institutions democratiques et deja les travailleurs polonais ont du souffrir toutes sortes de violences et de persecutions, en consequence de cette irresponsabilite. Et dans les exemples de la Lithuanie et de la Pologne, nous pouvons distinguer mieux que jamais les dangers que les dictateurs font courir a la paix du monde. Nous ne pouvons nous empecher d'eprouver la plus profonde mefiance envers l'intelligence et la bonne volonte de Valdemaras et de Pilsudski. Tous deux se sont arroge des pouvoirs dictatoriaux qui pourraient, par leur antagonisme, mettre le feu au monde entier. Les dictatures impliquent non seulement l'oppression des pays ou elles existent, mais aussi une augmentation des dangers de guerre Aussi demandons — nous toujourst et par dessus tout, non seulement dans la sphere de la politique interieure, mais aussi dans celle de la politique etrangere, la restauration de la democratie.

. . . .

Nie można powiedzieć, żeby opinja, jaką o naszych stosunkach ma tak wybitny członek rządu Mac Donalda ułatwiała pracę i zabiegi p. Zaleskiemu i to w momencie tak doniosłych a blizkich rokowań międzynarodowych.

Harriman już wpływa...

Pisma codzienne doniosły w połowie b. m., że na zarządzenie władz śląskich opuszcza teren Polski generalny dyrektor Huty Bismarcka — Kallenborn. Górnośląski organ sanacyjny doniósł o tem zarządzeniu z wielkim tryumfem, sławiąc p. wojewodę Grażyńskiego za jego politykę „silnej ręki".

Okazuje się, że tryumfy „Polski Zachodniej" i Związku Powstańców Śląskich — były mocno przedwczesne. Za uciśnionym p. Kallenbornem stawił się

---

i nie potrafią ukryć swego zawodu.

— Niestety! Tu u was nie tylko nic nie można zganić, lecz — trzeba chwalić!

Niezwykle znamiennym był wypadek, który zdarzył się jednej z wycieczek dziennikarzy niemieckich. Przyjechała i po obejrzeniu szeregu pawilonów, dostała się do budynku, w którym zgrupowano wszystko, co dotyczy życia polskiego na emigracji.

Niemcy dostali się wreszcie na swego konika. Wychodzili z tego pawilonu niezmiernie zadowoleni.

— Tyleście zgrupowali „tendencji" w sprawie ucisku niemieckiego wobec waszych rodaków w Niemczech! Przesada! Ciekawiśmy bardzo, jak też — „żyje się naszym rodakom w Polsce". Napewno naszym dzieciom nie wolno mówić po niemiecku!...

A w tej chwili?

Widocznie sama Opatrzność chciała ukarać niemiaszków, gdyż wspomniana wycieczka natknęła się na liczną grupę dzieci i — zdumiała się:

— Te dzieci mówią po niemiecku?!!

— Tak! To są „wasze dzieci" urodzone i wychowane w Polsce, uczące się w niemieckiej szkole, i przybywające pod przewodem swych nauczycieli, żeby obejrzeć wystawę...

W tym czasie, w którym bawiłem na wystawie, zjechała do Poznania wycieczka dziennikarzy szwajcarskich. Spotkałem się z nimi w teatrze. Byli obecni na przedstawieniu t. zw. „rewji ludowej". Goście szwajcarscy nie krępowali się z wyrazem swych uczuć:

— Ależ to jest cudowne! To jest — prześliczne! Przecież nigdzie dotąd w Europie nie pokazano nam czegoś tak odrębnego, tak wyłącznie — polskiego.

Kiedy na scenie „zjawiło się" — „Wesele Krakowskie", ze wszystkiemi śpiewkami i tańcami, w oprawie cudownych wprost „kierezyj", korali, zapasek i gorsetów, zachwyt gości doszedł do tego stopnia, iż ta zrównoważona, „po zachodniemu" wychowana „Europa" wstała i nie tylko biła brawo, ale — „darła się", jak opętana:

— Niech żyje Polska! Niech żyje jej lud!

Ukoronowaniem zachwytów gości zagranicznych, było oświadczenie jednej z wycieczek, zdaje się angielskiej, która w ten sposób porównała nas z wystawą w Barcelonie:

— Tam — widzieliśmy cud — marmurów, porfirów, alabastrów, prześliczne morze, cudowne cyprysy, zachwycające niebo... Czy trudno w takich warnkach — coś uczynić? Wy polacy, na tle swej szarej przyrody, na tle równiny — wykrzesaliście prawdziwy cud nie tylko nadzwyczajnej organizacji, wspaniałej systematyczności pracy i olbrzymiego wysiłku, ale — „starości potrafiliście nadać kolor błękitu". Wszak tego nie można nazwać inaczej — jak poezją!!

Dlatego, gdy słyszę te wszystkie zdania, wierzę, że i ci polscy pesymiści, którzy tak chętnie lubią i potrafią złorzeczyć na Polskę — uwierzą w to, że nie jesteśmy najgorsi między narodami!

Prawda?

JULJAN PODOSKI.

Może tak — może nie (d. c.)

u władz centralnych ktoś silniej ustosunkowany od samego wojewody Grażyńskiego. Ten ostatni musiał zarządzenie wobec dyrektora Huty Bismarcka cofnąć, a co więcej zamiast dotychczasowego jednomiesięcznego zezwolenia na pobyt — przedłużył mu tym razem termin pobytu na trzy miesiące! Jest to oczywiście czysta formalność, bo sądząc po „wysokiej protekcji", którą w sprawie dyr. Kallenborna w Warszawie „uruchomiono" — można być pewnym, że odtąd nie będą go już niepokoić „rozkazami" wyjazdu, których się nie wykonywuje.

„Protekcja" jest istotnie nie byle jaka. Stoi za nią ponoć sam p. Harriman. Cóż dziwnego, że w starciu z takim potentatem „potknął się" nawet p. wojewoda Grażyński!

Takie oto szerokie wpływy ma p. Harriman już dzisiaj. Pomyśleć co to będzie, gdy otrzyma on z rąk p. Moraczewskiego koncesję elektryfikacyjną?

Nadużycie „trzynastki"

Nie ustały jeszcze echa tragicznego lotu transoceanicznego, którego ofiarą padło życie ś. p. mjr. Idzikowskiego. Prasa sanacyjna po niewczasie usiłuje zatuszować, że nie brała udziału w owych niesamowitych hecach, w których wiarę w „trzynastkę" podnoszono do godności jakiegoś kultu.

Niestety nie zatrze ona własnych artykułów, które widnieją i po wsze czasy widnieć będą jako akt oskarżenia jej lekkomyślności, a conajmniej jako patalogiczny dokument dzisiejszej epoki.

Tak samo nikt i nic nie wydrze z kart historji owego „meldunku" naszego attache wojskowego przy ambasadzie paryskiej płk. Błeszyńskiego, który zaczynał się od słów: „melduję odlot samolotu „Marszałek Piłsudski" dziś 13-go 13 minut przed piątą..."

Meldunki wojskowe to nie artykuł dziennikarski. Ścisłość i bezwzględna dokładność co do sekundy niema!, jest tu obowiązkiem, o czem wie każdy żołnierz, a cóż dopiero pułkownik.

Godzi się przeto zapytać w imię czego, czy też nie dla dogodzenia kultowi zabobonu szczęśliwej „trzynastki" p. płk. Błeszyński popełnił nieścisłość w tak ściśle sformułowanym meldunku.

Zadaliśmy sobie trud przestudjowania dokładnego wszystkich szczegółów odlotu „Marszałka Piłsudskiego" z paryskiego lotniska Bourget. A było tych szczegółów w prasie paryskiej masa. Otóż we wszystkich dziennikach podany jest czas odlotu „Marszałka Piłsudskiego" na 4 godz. 45 min. ano, a samolotu francuskiego „Znak zapytania" z lotnikami Costes i Bellonte na 5 godz. min. 20.

Dosłownie 4 min. 45, a więc 15 minut przed piątą, a nie trzynaście...

Być może, że p. pulk. Błeszyński wolałby dzisiaj, żeby tego „meldunku" nie było, względnie by był on ściślejszy. Może choć na przyszłość będzie pamiętał, że oficera w każdej sytuacji wszędzie i zawsze obowiązuje najściślejsza dokładność i najdokładniejsza ścisłość.

Imiennik p. Sieczki z Filadelfji

Znakomity krytyk sanacyjny p. Sieczko, który „ostrza" swoich zdolności tak skutecznie już nieraz używał, musi niemało być zadowolony, że żyje teraz w Polsce. Gdyby żył bowiem np. w Stanach Zjednoczonych, mógłby niemało mieć przygód i kłopotów z powodu podobieństw nazwiska.

Żył bowiem w kraju Yankesów, przed laty jeszcze kilkunastu, skromny fachem człowieczek, który przedziwnym „zbiegiem" okoliczności nosił to samo imię i nazwisko co p. przodownik Sieczko, a który człowieka w Filadelphji „wysanował" i z pieniędzy i z życia.

Od tego długiego czasu biedzą się władze Ameryki gdzie też mógł emigrować tamtejszy p. Sieczko, bo zachowały dla niego znakomitą „posadę" — na elektrycznym fotelu. Propozycja taka ma swój walor na przeciąg lat 25 i już niewiele brakuje by ważność jej minęła.

Policja amerykańska żyje w błogiem mniemaniu, że upragniony Sieczko z Filadelphii żyje sobie spokojnie w jakimś Meksyku czy Panamie, no i być może, że niewiele się myli.

Piszemy o tem bo słyszymy, jakoby istniał zamiar, by tutejszego p. Sieczkę wysłać jako konwojenta (nie znaczy to pod konwojem) do Stanów Zjednoczonych. Nie chcielibyśmy zaś, by z racji podobieństwa nazwisk narażać zasłużonego funkcjonarjusza bezpieczeństwa na nieprzyjemne posądzenia.

Prawdziwa cnota na loterji

Na skutek naszych notatek o zagranicznych wpływach w prasie czerwonej pojawiła się w „Kurjerze Czerwonym" najpierw groźba procesu, a następnie ogłoszenie, mające walor prawnego zobowiązania, w którym wydawnictwo prasy czerwonej oddaje na własność cały swój koncern prasowy za przeprowadzenie dowodu, że ich „udziały" lub choćby nawet jeden tylko należą do Niemców.

Jednem słowem: dziewictwo wystawiono na próbę. Czerwona „cnota" idzie tym czasem na loterję, bowiem na licytację może przyjść jeszcze czas.

Cnota niejednokrotnie bywa objektem — kapturowego handlu. Bogaty, nieraz bowiem trzy czwarte treści zajmujący dział kryminologji uczynił z prasy czerwonej lejborgan świata przestępczego i sanacji. Niema w Warszawie złodzieja ani innego „fachowca", ktoryby rankiem czy wieczorem nie chciał się przejrzeć w lusterku. Czyta więc prasę czerwoną, gdzie ma fachowe informacje. Nie jeden z obecnych menerów już dziś z lubością wybiera sobie na przyszłość rubryki...

Konkurs za konkursem, bujda za bujdą, wreszcie zaś coś, co wzbudza wprost homeryczną wesołość.

Cały koncern prasowy, cała prasa czerwona, ten luminarz ideologji sanacyjnej — wystawia siebie na loterję.

Doświadczenie z Gorczyńską, jak widać, nie wystarczyło.

Ruch więc na mieście niemały. Niczem na Olimpiadzie biegają amatorzy dla uchwycenia rąbka prawdy.

Procesik więc ma być.

Ciekawy będzie.

ZŁA METODA

Ostatnio byliśmy świadkami gorszącego zajścia: „Głos Prawdy" — zepsute do szpiku kości bebe, na wiek sędziwy „Gazety Warszawskiej" nie zważając, wymyślać jej jął od ostatnich — stara zaś ale jara „Gazeta" nie została w odpowiedzi dłużna i nuż karcić niesforne BB — „a szołdra, łobuz, szopenfeldziarz, kanciarz, doliniarz!"...

Otóż pod adresem Gaz. Warsz. skierujemy maleńką uwagę, iż metoda której ona używa jest złą i przestarzałą.

Dzieci nie karci się dzisiaj w salonie, przy gościach, publicznie, ale gdzieś w kącie, w cztery oczy.

I otoczenie nie ma przykrego spektaklu i brudów się na forum publiczne — nie wywłóczy.

I nikogo taka metoda nie poprawi.

Coprawda w tym wypadku, wątpliwe, czy jakakolwiek metoda cośby pomogła...

Znawcy i specjaliści od bebe, twierdzą, że nawet Studzieniec nicby tu nie pomógł — „Grochal, panie, tym drabom nie zaimponuje — wiadomo, sami — „Grochale".

Więc nawet Grochal nie — a gdzież taka bogobojna staruszka, jak „Gaz. Warsz.", cośby zrobić mogła?

Zła, błędna i iluzoryczna metoda.

NASI W BIARRITZ

WYSOKIE WYWCZASY

Dostojników dwunastu,
Każdy swady ma za stu,
Decydują powszechne urlopy,
Życie bowiem jest sute,
Kto ma twardą walutę,
Więc choć zbrojne, morowe to chłopy.

—

Niby z wielkiej fatygi
W świat bieżą na wyścigi —
... Süd expressy ... Daimlery ... salonki ...
Marny bowiem spoczynek,
Hel, Rabka, Ciechocinek,
Lub Podhala doliny i łąki.

—

To dla plebsu, biedoty,
Której troską jest złoty,
Która co krok o cenę się pyta.
Dla nich koszty, to żarty,
Dla nich świat jest otwarty,
Gdzie podąża ludzkości elita.

—

Sternikom resortowym
Swojski klimat niezdrowym,
Więc gdzieindziej im szukać wytchnienia.
Dla narodu prestige'u,
Jak nie bujać w Paryżu,
Nieść ofiarę i z czasu i z mienia...

—

I niedawno też było
U nas duszno, niemiło
O te fraszki z kredytem, budżetem.
Za niegrzeczne badania,
Niedyskretne pytania,
Słodkie ferje należnym odwetem.

—

Więc rozkoszne wrażenia,
Bez kłopotu i cienia,
Póki znowu: „O gwałtu, o rety!" —
Zły człowiek nie zawoła.
Nie powtórzą dokoła
„Konstytucjo, a gdzie ty, a gdzie ty?"

—

A więc lecą na umor
Leczyć nerwy i humor
Na słoneczne błękitnych wód brzegi.
Gdzie hotele są prima,
Czy to lato, czy zima,
Gdzie konkursy, spektakle i biegi.

—

Zwiastun twórczej radości,
Kto mu dziś nie zazdrości,
Iż nie kąpie się w Bugu lub Nidzie.
Uśmiech losu go darzy
Na królewskiej on plaży
I ujrzycie go wnet w „Światowidzie".

—

Pewnie się też usłyszy,
Że skuteczny zdrój w Vichy,
A cudowne w Rumunji kuracje.
Wprawdzie pyta głos prasy —
Skąd tak liczne wywczasy,
Lecz ważniejsze wszak stanu są racje.

—

A ostatnia wieść niesie,
Że do Trouville ktoś rwie się,
Lub na fiordach odnajdzie swój Eden.
Tak z włodarzy genjalnych,
Sanacyjnych moralnych —
Nie pozostał na placu ni jeden.

CASUS.

RADĄ WTAJEMNICZONYCH

1.

Leżeli w kostjumach na plaży,
Włochaci i bardzo pokraczni.
Leżeli... żar słońca ich prażył...
Aż któryś z nich westchnął:
„No... zacznij!"
Wezwany goloną wzniósł głowę,
Niechlujnie skudloną swą brodę
Przygładził — i zaczął przemowę,
W pieniącą wpatrując się wodę.
Rzecz pierwsza: potrzeba ustalić,
Czy Harriman da no i ile?
(Świtalski, jak chcesz się opalić
To leżże spokojnie choć chwilę!)
Po drugie: czy robić wybory,
A jeśli je robić — to za co?
(Pełczyński — ty musisz być chory!...
Ten babsztyl?... — Jest patrzeć też
na co!)
Po trzecie: są różne przykrości
Olpińsko — stpiczyńsko — miedzińskie...
(Przesmycki! — połamię ci kości!... —
Zostawże te kawały świńskie!)
Po czwarte: taktyka sanacji,
W wypadku — broń Boże... wypadku
(Doprawdy, Schäetzel, z jakiej racji,
Ty drapiesz się ciągle po zadku?)
Po piąte: co ma być zrobione,
W momencie... „złamania się linji"...?
(O, Bartel, odejdźże na stronę...
Nie tu... to nie Monte Cakini ...)
Po szóste: — i najistotniejsze —
Wróg wzmógł się wprost niesłychanie;
(Błeszyński!... to tu jest
ważniejsze...
Więc mógłbyś wziąć... na
wstrzymanie).
Wszak potośmy tutaj zjechali —
Tę kwestję omówić — i drugą.
Więc pierwsza, powtarzam —
co dalej?
A druga — i jak jeszcze
długo?"
Odsapnął, pot otarł z czoła,
W dwa palce wysiąkał nos...
A w ciszy, co legła dokoła —
Świtalski poprosił o głos: —

2.

„Ja sądzę — rzekł — że nie pora,
By teraz tu, dyskutować... —
Kraj — pod opieką Prystora —
Niema się czego przejmować."
Zgrzyt zębów wściekłego bisa
I groźny odparł mu syk —
„Świtalski — idź grać w tennisa!"
Więc powstał posłusznie — i znikł.
Rzekł Bartel: „Co sejm uczyni..."
Przerwał mu rozkaz — jak strzał —
„Idź — rób swoje Monte Cakini!"
(Wziął nogi za pas i zwiał).
Potem Przesmycki nieśmiało
Głos zabrać miał wielką chęć —
„Idź — poparlować z tą małą!"
(Nie było go w sekund pięć).
Znów cisza pod jasnem niebem
Ocean się ściele het —
„Błeszyński! Tyś miał potrzebę!..."
„Rozkaz!" (Nie było go wnet).

3.

Została samotna trójka
Sławek się zaśmiał pogodnie
„Nareszcie sami swoi — „dwójka" —
Możemy mówić swobodnie.
Więc, co do „łamania kości..."
Głos brzmiał coraz ciszej... ciszej...
(Wieck badał czy w tłumie gości
Ktoś przypadkowo nie słyszy...)
Słoneczne ochłodły żary...
I plaża milkła zgiełkliwa...
Nad losem Polski w Biarritz
Radziła... defenzywa.

HENRI.

W BIARRITZ

Narady w Biarritz rozwijają się według programu.

Dotychczas, oprócz premjera Świtalskiego, pułk. Sławka i jego doradcy parlamentarno-taktycznego, szefa II-go oddziału, pułk. Pełczyńskiego, przybyli na obrady: pułk. Schäetzel, b. szef II oddziału, radca ambasady w Paryżu, pułk. Błeszyński, attache wojskowy; spodziewane jest przybycie w dniach najbliższych pułk. Pierackiego. Również b. premjer Bartel (bawiący narazie w Paryżu), oraz zast. szefa gab. prezesa rady min., p. Przesmycki, (odbywający wycieczkę po Francji wspaniałym Lasalle'm rządowym naturalnie) mają w najbliższym czasie wziąć udział w obradach.

Wszyscy ministrowie, bawiący poza granicami kraju otrzymali jakoby polecenie „zameldować się" osobiście p. premjerowi przed powrotem do kraju.

Odnośne zlecenie wysłano również do Londynu pod adresem pułk. Rayskiego, szefa lotnictwa.

Przedmiotem dyskusji są obecnie dwie sprawy — „Wybory — za co?" oraz „Czy Harriman da naprawdę i ile?"

Pozatem w podkomisjach zjazdu toczy się debata na temat „Rzeczy przykre i sposób ich likwidacji".

Część pierwsza tego zagadnienia obejmuje kompleks spraw dni ostatnich — a mianowicie sprawy pp. Miedzińskiego, Stpiczyńskiego, Olpińskiego, rewelacji prasy na ten temat, oraz sytuację gospodarczą kraju — część drugą wiąże się ściśle z drugim tematem obrad.

MÓWI SIĘ TU I OWDZIE...

..że na jesieni oczekiwać należy dość znacznych, choć zdawna przygotowanych zmian na niektórych wysokich stanowiskach państwowych.

Przedewszystkiem więc, jako że zbiegnie się to już z przygotowaniem preliminarza budżetowego na rok następny, opuścić ma stolec wiceministra skarbu p dr. Grodyński. Dość już długo bowiem zajmuje miejsce, o którym zdawna marzy p. dyr. Starzyński.

P. min. Grodyński zostanie zresztą należycie wynagrodzony. Nie darmo przecież do tej pory nie jest obsadzone stanowisko jednego z wiceprezesów Najwyższej Izby Kontroli po ś. p. Niewiadomskim.

Wtajemniczeni mówią, że i na tem stanowisku p. dr. Grodyński pozostanie dość przejściowo. Na stałe bowiem usiąść ma na stolcu znacznie wyższym. Mówią, że będzie nim dzisiejszy fotel p. prof. Wróblewskiego.

Ten ostatni jakoby jest zupełnie zniechęcony do Warszawy do ostatnich rewelacjach „Placówki". Ponieważ zaś niedawno ogłoszone już zostało zatwierdzenie jego wyboru na wiceprezesa w Akademji Umiejętności — nic już nie stoi na przeszkodzie powrotu p. profesora do bardziej dlań sympatycznego i wyrozumiałego Krakowa.

*

... że p. gen. Rydz uniknął niedawno bardzo ważnego przydziału nowych funkcyj służbowych. Podobno po niespodziewanem „zwolnieniu" z czynności dowódcy K. O. P.'a gen. Minkiewicza — ktoś tam sprytnie wysunął myśl powierzenia czynności po nim p. gen. Rydzowi. O mały włos „posunięcie" byłoby się udało... W ostatniej jakoby chwili udało się prawdziwym przyjaciołom generała uwolnić go od tej misji.

Dla zatarcia śladów tej „intrygi" — jak to ktoś w rozgoryczeniu nazwać się ośmielił, przydzielono referat K. O. P.'a w Generalnym Inspektoracie Armji p. gen. Rydzowi, czem ad oculos zademonstrowano, że szło o zainteresowanie go tym ważnym działem służby państwowej, a nie o coś co w obecnych warunkach jego pozycji nasuwałoby podobieństwo do t. zw. zesłania...

*

... że b. premjer Bartel, który w chwili obecnej pogłębia swe studja — tym razem polityczne, a nie naukowe — w Paryżu, ciągle jeszcze przy sposobności rozmów z rodakami na „tematy krajowe" nie kryje swego niezadowolenia (żeby nie powiedzieć oburzenia) z powodu sposobu, jaki wobec niego zastosowano w związku z pożegnalną herbatką przed jego wyjazdem w Belwederze.

P. Bartel był święcie przekonany, że „pożegnanie" ma charakter ściśle „intymny" niemal familijny. Rozgrzany tem domowem ciepłem rozczulił się i wypalił znaną mówkę... meldunkowo - służbistą.

Jakież jego zdziwienie, gdy na drugi dzień przeczytał swoje przemówienie in extenso w prasie?

Nie usposobiło go to najlepiej do aranżerów niektórych posunięć i do dawnych rozżaleń dodało nowe. Wyjechał w dość złym humorze, którego echa od czasu do czasu wyczuwają ci wszyscy, którzy z b. premjerem zagranicą mają nietakt poruszać sprawy niedawnych przeżyć i zawodów.

NA DNIE OKA

ŁOWCA GŁÓW

Jest pod tym tytułem powieść Wallace'a.

Jest tej nazwy symbol żyjący w ministrze pewnym, który co miesiąc, las głów młodych kosą dymisyj, urlopów, czy w stan nieczynny przeniesień — regularnie ścina.

A że gusta ma zmienne, od stanu trawienia i ilości kwasów żołądkowych zależne, na niestrawność zaś dzięki obżarstwu niepomiernemu chronicznie zapada — przeto i najlepszych, najwierniejszych nazwiska czerwonym ołówkiem gęsto często na listach oficerskich poznacza.

A więc poszli na „zieloną trawkę" Piątkowski (ten właściwie do map) i Handt — lotnej brygady tuzy znamienite z wypadów różnych, a Zagórskiego daremnych poszukiwań, słynne...

„Nieczynnym" nagle stał się p. Felsztyński, ongiś specjalnym p. ministra wojny rozkazem powołany...

Gen. Rydz, śmigle po prowincji nakaz ma uganiać, w Warszawie się nie pokazując...

Pułk. Wyżeł Ścieżyński, biura personalnego i II oddziału, chluba — po „niełasce" wyborczej do Przemyśla zesłany, z dn. 1 sierpnia odprawionym ma zostać.

Kpt. Nagórny, ongiś Prezydenta adjutant, gdzieś na Polesiu dzisiaj dla „dobra służby" wegetuje...

Któż pozostał?

...Prócz... wend wszelakich?

I w imię czego i dlaczego ta nieobliczalna hekatomba?

Bez systemu, bez... „linji"? Czyżby dawni legjonów bohaterzy zbyt niezależne zdanie o różnych kwestjach mieli, i uwagi śmieli swe wtrącać, miast na „hab'acht" stanąwszy rozkazów „opiekuńczego" ministra niby objawień słuchać?...

Nie wiadomo.

Wiadomo tylko, że, mimo nie zjeżdżania się (oficjalnego) delegatów (osłabienie przez to „opozycji"), delegaci owi na zjazd legjonistów do Nowego Sącza, gremjalnie przybyć zamierzają.

I tam ma nastąpić rozrachunek.

Z wieloma metodami...

Z bardzo wieloma...

Ale z „łowcą głów" przedewszystkiem.

B. B. W BIARRITZ.

Biarritz jest miejscem zjazdu zarówno rządu jak i nierządu. Nie przypuszczamy ni na chwilę, by to ostatnie właśnie zdecydowało o wyborze, choć ministrowie są młodzi i pełni temperamentu. Praca tam wre w całej pełni. Ministrowie ćwiczą na gwałt pływanie. Ich znana sztuka pływania może nadługo nie wystarczeć. Ćwiczą więc na łopatkach, bujają sobie na falach i mają miłe złudzenie, że mówią przed trybunałem.

Jeszcze ten jeden raz, może to właśnie ostatni, bo na jesieni przecież sejm, który zechce usłyszeć, co ministrowie nad Atlantykiem uchwalili. Bujanie może się nie udać i jeszcze przyjdzie odpłynąć na... łopatkach?

W gmachu hipoteki w Warszawie opróżniło się znowu bardzo dobre miejsce. Zmarł bowiem przed kilku dniami b. minister Żychliński i rejentura już jest wolna.

Każde takie zdarzenie, to jakby kij, wetknięty w sanacyjne mrowisko. Panis bene merentium jadł będzie ktoś z najzasłużeńszych. Pomiędzy kandydatami na nowe stanowisko najpoważniej się mówi o Bogusławie Miedzińskim, b. p. ministrze, który podobno już się wkuwa do egzaminu na rejenta. Dochody dobre.

Na wypadek tej nominacji zastrzegłby pewnie p. Miedziński, aby czynniki kontrolne nie właziły mu w resort finansowy, bo to często prowadzi do dyskusji publicznej.

*
* * *

Krążą wieści, iż ks. Janusz Radziwiłł, zamierza ofiarować min. Carowi własnoręczny przekład tomu nowel Zoszczenki p. t. „Carskie buty".

*
* * *

Muzeum Wojskowe otrzymało ostatnio przepiękny prezent od znanego z ofiarności p. min. Moraczewskiego. Złożył on w darze dla sali hetmańskiej swoją szpadę, której używał jako niezwyciężony austrjacki radca kolejowy. Szpada ta ma na sobie żółto - czarne ślady wojny.

SKONFISKOWANE

w N-rze 30 „Placówki" przez Komisarjat Rządu. Sąd jednak konfiskaty nie zatwierdził.

Awantura w Madrycie

Działo się to w luksusowym hotelu „Ritz" w Madrycie w czasie szumnych obrad Rady Ligi. Wysoki szyk i nie byle jaka parada... Przyjechał więc pewien polski minister (oczywiście salonką wprost z Warszawy), jego małżonka, młodszy lokaj z własnej pilności p. Marjan, starszy lokaj zawodowy p. Jan i suczka Banania.

Klasa wysoka, ceremonjał zamojsko-burboński.

Ale o to w dzień po przybyciu, właśnie gdy najważniejsze dyplomatyczne obrady, rwetes i awantura: suczka Banania, klejnot Najjaśniejszej Rzeczypospolitej i chluba — zginęła!...

Poruszono wszystkie żywioły i moce; służba hotelowa z dostojnym zarządcą na czele na czworakach pobiegła szukać cennego, podobno w pewnym kierunku wysoce uczonego, zwierzątka; zaalarmowano policję, straż pożarną, pogotowie zwierzęce, ludzkie i dyplomatyczne; poselstwo polskie w panice rozbiegło się po mieście... Obławę wiódł bohatersko Marjanek.

Ale tymczasem, gdy niepokój rósł z godziny na godzinę, pani ministrowa, wśród tłumu świadków polskich i obcych, srogą wali małżonkowi reprymendę w hall'u owego „Ritza":

— Idjoto! Bałwanie — i do czego się ty nadajesz? Nawet psa nie potrafisz upilnować!...

Banania się odnalazła. Rzeczpospolita na tym odcinku nie poniosła szkody. Ale słowa pani ministrowej zostały...

RIX.

Sąd Okręgowy nadsyła nam do ogłoszenia:

Upatrując w treści zamieszczonego w Nr. 30 z dn. 14 lipca 1929 r. czasopisma „Placówka" art. p. t. „Ku katastrofie gospodarczej" cechy przestępstwa w art. 1 cz. 3 Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 10 maja 1927 r. o prawie prasowem przewidzianego, na zasadzie art. 76 i 77 Rozp. Prez. Rzeczypospolitej z dn. 10.V 1927 r. dokonane przez Komisarjat Rządu na m. st. Warszawę zajęcie tego czasopisma zatwierdzić i rozpowszechnienia go zakazać.

—

HOCKI — KLOCKI

Podobno p. Marszałek Piłsudski przechodząc z Belwederu do Głównego Inspektoratu, kupił od przebiegającego chłopaka „Gaz. Warszawską" i z niej dopiero dowiedział się o sprawie p. Miedzińskiego.

Skutki były dla różnych różne: gazeciarz dostał 5 złotych, pewni panowie zostali „zaproszeni" na „konferencję" do prywatnego gabinetu p. Marszałka, zaś sierżant Wójcik został... ukarany dwutygodniowym aresztem — za... „dopuszczanie niepowołanych osób w pobliże osoby p. Marszałka".

*

P. Miedziński, idąc śladami swych kolegów z „Głosu Prawdy" — pp. Stpiczyńskiego i Ostena Olpińskiego — ma zamiar napisać książkę. Dzieło to ukaże się pod tytułem: „Uwagi nad budżetem".

*

Sława polskiego budownictwa pocztowego rozeszła się po świecie. Monumentalne dzieło p. Miedzińskiego szczególniej zaimponowało w Panamie (Centralna Ameryka), gdzie dawno takich rzeczy nie widziano, a gdzie się znowu planuje budowę nowego kanału. Rząd panamski chce zyskać dla współpracy człowieka, któryby nie bał się Panamy i któryby po praktyce w „Głosie Prawdy" dał sobie radę z kanałem. B. minister Miedziński ma dostać ponoć propozycję na naczelnego inżyniera...

*

— Czy „Korfanty" i „Miedziński" — to to samo?

— Skądże!... Korfanty to...

— Wiem, wiem... A „Miedziński"?

— ... To taki typ, który opuszczając jakąś instytucję, zostaje jej „dłużen" pewną sumę.

*

Pewnego ministra ma zamiar zaangażować, po skończeniu kadencji, jedno z państw staro-muzułmańskich — na stanowisko „Przysposobiciela eunuchów".

Decyzję swą, motywuje to państwo tem, że nikt tak dobrze nie będzie czuwał nad „czyszczeniem" osobników, mających zostać eunuchami, jak ów właśnie minister, którego praktyki na tem polu są wprost... hors concours...

*

Pewien ultra lojalny właściciel zakładu czyszczenia mieszkań, wywiesił nad drzwiami swego sklepu następujące ogłoszenie:

„Tu się prystorzy sufity, podłogi, meble i ściany".

Pan wojewoda Jaroszewicz, znany ze swych... burzliwych, nocy — zwykł mawiać zwykle następnego dnia rankiem — „Proszę mnie zbytnio dziś nie fatygować. Jestem sp...rystorzony do ostatnich granic".

*

Koło lekarzy-sanatorów, chcąc zademonstrować swą prawowierność, postanowiło nazwać prostatę — „prystoratą".

*

Uczestnicy zjazdu w Biarritz postanowili nosić specjalną odznakę. Będzie nią złota w formie damulki w kąpielowym kostjumie, wychylającej się frywolnie z rządowego Cadillac'a czy Lasalle'a.

*

— Z jakich budżetów pokrywa się koszta ekskursyj do Biarritz?

— Z... „wesołych"...

*

— Co robią „biarritz'owcy"?

— Bartolą się na plaży. (Czy też miesiącami? — Przyp. zecera).

*

Sanacja zdobywa sobie coraz większy mir.

Dawniej słyszało się „Nie bądź dla mnie Korfanty", a dziś „To istna olpinjada!" „Dość już tego p...rystorzenia!" „Nie bądź za Stpiczyński!" „Miedzińskie systemy".

Tak oto promieniuje „radosna twórczość" w szerokie masy.

*

Podobno Wojewoda Jaroszewicz starał się gwałtownie o otrzymanie „zaproszenia" do Biarritz. Na pytanie, co by tam robił — odparł:

— Oni by radzili, a ja bym ich zastępował w tem, po co się właściwie do kąpieli i uzdrowisk wyjeżdża.

Poczem, po krótkim namyśle, dodał:

— Mam wrażenie, że byłaby to świetna propaganda naszych wyrobów, a zwłaszcza tak modnych dziś „zabawek trybunalskich".

*

Ze względów na obniżenie ceny zboża i klęskę głodową w Wileńszczyźnie, dyskutowaną jest w kołach sanacyjnych zbawienna myśl, by za przykładem poczt i telegrafów — wskrzesić też ministerstwo aprowizacji wraz z funduszem dyspozycyjnym. Na stanowisko ministra aprowizacji powołany byłby znakomity gospodarz, p. poseł Sanojca, jako fachowiec od zboża; wiceministrem zaś — p. przodownik Sieczko, specjalista od mięsa.

Cena prenumeraty: rocznie zł. 12, kwart. zł, 3.50 mies. zł. 1.20
Ceny ogłoszeń: 1/1 str. 300 zł., 1/2 160 zł., 1/4 90 zł., 1/8 50 zł.; w tekście o 35% drożej.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Sienna 33, tel. 106-25 **Konto P.K.O. 19.070**

Redaktor i wydawca **Wacław Dziekoński.** Druk. „ARS", Warszawa, Sienna 33, tel. 106-25.